



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

PRACA KOBIET

IV 1)

Siostra miłosierdzia — dozorczyńni chorych.

Jest dział pracy kobiecej, który istniał od wieków, bo od pierwszych zaczątków cywilizacji chrześcijańskiej: miłosierna praca koło chorych. Dało jej początek gorące uczucie miłości bliźniego, które chrystyanizm w sercach ludzkich rozbudzał i rozwinął u kobiet do wysokiego stopnia poświęcenia mu życia całego.

Zpośród kobiet rzymskich wyszedł pierwszy poczet tych poświęconych. Szlachetne Rzymianki przyjmując w swój dom chorych pielgrzymów, poczęły pierwsze pełnić wśród gminy chrześcijańskiej pracę siostry miłosierdzia; praca ta z postępem czasu zorganizowała się w bractwo z regułą zakonną, bo siostra miłosierdzia, niezwiązana ślubem dozgonnym, właściwą zakonnicą nie jest, lecz tylko stowarzyszona, która ulega karności reguły z wybitnym charakterem religijnym. Duch tej religijności umacniał i wspierał, wiązał między sobą zgromadzone i instytucja przetrwała wieki, otoczona zawsze wysoką czcią, wysokim uznaniem ogółu, a użyteczna tak wielce, że nawet te wyznania chrześcijańskie, które, katolickimi nie będąc, więc stowarzyszeń z regułą zakonną nie posiadając, zapożyczyły się u typu katolickiej siostry miłosierdzia, tworząc dla potrzeb społeczeństw protestanckich dyakonissy, odziane też charakterem wół duchownym.

Z tego wyszła w ostatnich czasach świecka do-

zorczyńni chorych: przy wzroście ludności, przy większym uwzględnieniu potrzeb klas ubogich, a raczej przy głębszym wejrzeniu w klas tych nędze rozmaite, wydzieliły się zpośród kobiet światowych osobistości, wyższem uczuciem ludzkości przejęte i przyłożyły rękę do dzieła miłosierdzia w tym kierunku, który snadź kobiecości niezbędnie potrzebuje, bo wedle doświadczenia wieków kobieta wywiązuje się tu najlepiej z zadania.

Takim jest historyczny przebieg rzeczy. Obok katolickiej siostry miłosierdzia, protestanckie Niemcy wydały dyakonisse, a wostatku Anglia świecką chorych dozorczynią: „a nurse“, której dziś oddaną jest niemal ogólnie obsługa chorych w trzech zjednoczonych królestwach Wielkiej Brytanii, w Indyach i większej części innych kolonij angielskich. Błogosławionej pamięci Florencya Nightingale, której dzieje są ogólnie wiadome, pierwsza stanęła na tym miłosierdnym posterunku, pokazując innym drogę do najpożyteczniejszej, w najszcześniejsze skutki płodnej działalności. Oprócz obsługi szpitali, angielskie dozorczyńni chorych stały się w inny jeszcze sposób opatrnością cierpiącego. Liczne są w Anglii stowarzyszenia opiekujące się zdrowiem klas mniej zaможnych i mniej oświeconych, i te to stowarzyszenia za pośrednictwem dozorczyńni chorych rozwijają wśród niższych warstw społeczeństwa zbawienną czynność. Szczególniej w miastach fabrycznych, przepelnionych ludnością pracującą a ubogą, ma ona znaczenie bardzo ważne, bo dozorczyńni chorych zjawia się na pierwsze wezwanie, a nawet bez wezwania, przy łożu matki lub ojca, czy dziecka chorego, czuwa przy niem, w drobniejszych dolegliwościach sama pomaga, a w razie już choroby umiejętnie wykonywa przepisy lekarza, zdaje mu sprawę ze stanu chorego, i w pracy, jakiej obsługa przy nim wymaga, zastępuje kobietę z rodziny, tak często obciążoną, tak niemogącą oderwać się od roboty zarobkowej, że jej braknąć musi obok chorego.

Dozorczyńni, przez starania swoje ze świadomością rzeczy związane, broni, aby choroby udzielając się mogące nie rozszerzały się na otoczenie; ona wreszcie oświeca umysły kobiet z ludu uboższego pod względem wiadomości higienicznych, które za jej pośrednictwem rozpowszechniają się szczęśliwie. Wspomniane wyżej stowarzyszenia kładą na tę ostatnią działalność dozorczyńni nacisk wielki i niedaremny. Odczyty dla kobiet, najmożliwiej popularne, i podobne broszurki w przedmiocie higieny, stanowiące jedno z ważniejszych działań owych stowarzyszeń, dlatego tylko mogą wywierać wpływ i nie zostają odtrącone z lekceważeniem, że grunt jest już przygotowany przez dozorczyńni chorych, które w poufalem zetknięciu z ludem wprowadzają w umysły początek jakiejś wiedzy w tym kierunku i budzą potrzeby jej poczucie. Królowa angielska w uznaniu wielkiej zasługi i wielkiej użyteczności dozorczyńni chorych, ustanowiła dla nich w roku zeszłym znak honorowy: order Św. Katarzyny Aleksandryjskiej, który się nosi na lewem ramieniu w kształcie złotej, biało emaliowanej przepaski, z odpowiednim napisem, zielonemi — jak mi się zdaje — literami. Biały kornet katolickiej siostry miłosierdzia już jej zapewnia cześć i uszanowanie wśród najgrubszej, najmniej wpływom idealnym uległej ludności. W czasie wojen algierskich, szczególnie w walkach z dzikimi pokoleniami Kabyłów, gdy ci górale uniesieni przeciw europejskim najezdom uczuciem namiętnej nienawiści, mordowali ich okrutnie, jedna tylko siostra miłosierdzia była z tego wyłączoną, a nawet, przeciwnie, stała się dla Arabów, poczynając od Abdel-Kadera, przedmiotem uwielbienia. I wojska francuzkie podobnie prezentowały przed nią broń, co obecnie może już nie istnieje, ale niemniej i dziś, gdy gmina paryzka postanowiła usunąć ze szpitali miejskich siostry miłosierdzia, podniosła się przeciw temu silna protestacja blisko stu paryzkich lekarzy.

Zpomiedzy udzielonych kobietom znaków naj-

wyższego we Francji uczczenia publicznego: krzyża legii honorowej, przeważna liczba wypada na siostry miłosierdzia.

We Francji zgromadzenie siostr miłosierdzia, posiłkowane drugiemu podobnym stowarzyszeniem zakonnem: S-go Tomasza de Villeneuve (Dames de St. Thomas de Villeneuve) jest dość liczne, aby wystarczyć obsłudze szpitali i ambulansów wojskowych, którym w czasie wojny towarzyszą na dalekie wyprawy, do Afryki, do Krymu. U nas podobnie pielęgnowanie chorych w szpitalach publicznych powierzone jest przeważnie siostrami miłosierdzia; spełniały one zawsze z troskliwością wzorową zadanie swoje, jak to poświadcza ogół lekarzy w zetknięciu z nimi będących, ale braknie ich licznie na tem stanowisku, bo na całe nasze Królestwo jest obecnie 250 siostr, a przecież oprócz opieki nad chorymi, służą one jeszcze ludzkości na różnych polach miłosierdzia chrześcijańskiego. Wychowują sieroty, mają szkoły dziewcząt, jak naprzykład u S-go Kazimierza w Warszawie, w Sandomierzu, w Białej, z których wychodzą robotnice doskonale w robotach kobiecych wykształcone; pomagają wreszcie instytucjom dobroczynnym w sprawiedliwym rozdzielaniu wsparć i wyszukiwaniu nędzy potrzebującej tego. Więć zdwojona, potrojona liczba siostr miłosierdzia jeszcze-by zbyt dużą nie była, szczególnie, gdyby działalność w pielęgnowaniu chorych rozszerzyła się dobroczynnie do domów prywatnych, do ubogich rodzin klas niższych, gdzie matka dźwiga nigdy usunąć się nie dający ciężar pracy gospodarczej, a jest przytem ciemna i nieświadoma, niezdolna nawet dobrze wykonać przepisów lekarza, jakkolwiek często poświęca na nie grosz ostatni, zapracowany w pocie czoła.

A przecież wszystkich chorych umiętnej pomocy potrzebujących nie można pomieścić w szpitalu. Naprzykład dzieci chorujące na krosty nie są przyjmowane do żadnego z dwóch szpitali dzieciennych w Warszawie istniejących, ani do założonego przez hr. Augustową Potocką przy ulicy Alexandrya, ani do żydowskiego, i okazuje się w mieście naszym potrzeba najmniej stu łóżek jeszcze. Ale gdyby nawet tak nie było: gdyby miejsca, których braknie, stały zawsze dla każdego przystępne, czyż dla większości matek nie jest to boleścią nad siły, gdy przychodzi rozstać się z dzieckiem chorem, którego dni są policzone? To samo czuje żona, córka, a gdy weźmiemy jeszcze w rachunek ludzi samotnych, chorobą zaskoczonych, rodziny, w których epidemia nagle w kilka osób uderzy — potrzeba świeckiej dozorczyń chorych przedstawia się jako dobrodziejstwo prawdziwe dla wszystkich klas społeczeństwa, jako wielki postęp w kierunku, zabezpieczającym zdrowie ogółu.

Warszawska Rada Dobroczynności Publicznej potrzebę tę uczuła i zapragnęła utworzyć przy szpitalu S-go Rocha Szkołę Dozorczyń Chorych. Projekt ustawy szkolnej został już przedstawiony komitetowi lekarzy, złożonemu z D-rów Szokalckiego, Fritschego, Kobylańskiego i Wszębora; ci opatrzyli go pewnymi uwagami i tak przesłany został do zatwierdzenia władzy: zatem szkoła, jak przypuszczać należy, zostanie otwartą z początkiem roku szkolnego, we Wrześniu. Na początek postanowionem zostało przyjęcie tylko uczennic 20, na warunkach następujących:

Kandydatki w wieku od lat 25 do 40, tak wolne, jak i mężatki, chrześcijanki, umiejące czytać, pisać i rachować w zakresie czterech działów prostych, opatrzone przytem świadectwem dobrych obyczajów, podpisanem przez dwie osoby: panią wiarogodną i lekarza znanego, w Warszawie praktykującego, będą obowiązane złożyć najpierw examen z wymienionych wyżej przedmiotów, poczem dopiero zostaną przyjęte na kurs nauki, rok trwający, a dzielący się na praktyczną i teoretyczną. Zaczyna się od kursu praktycznego trwającego dwa miesiące. Uczennice, które po tym czasie okażą się zadawalniająco uzdolnionymi, przejdą na miesięczny kurs teoretyczny, poczem powrócą znowu do sal chorych na praktykę, a ostatnie sześć lub ośm tygodni słuchać będą ostatecznego wykładu teoretycznego, po którym nastąpi examen i uczennica otrzyma patent podpisany przez kuratora

i naczelnego lekarza szpitala. Wtedy dozorczyń obracć sobie może pewną specyalność i w tym celu udać się na praktykę dodatkową do któregoś ze szpitali, naprzykład: dzieciennego, oftalmicznego, i po odbyciu tam praktyki otrzymać patent drugi, poświadczający specyalne jej uzdolnienie.

Przez cały czas nauki w szkole uczennice obowiązane są odprawiać modlitwy ranne i wieczorne, oraz słuchać mszy w kaplicy szpitalnej wraz z Siostrami miłosierdzia, którym oddane będą pod nadzór i do których zbliżyć się powinny duchem, aby mogły wstępować w ich ślady i rozbudzić, rozwinać w sobie ten podniosły, ofiarniczy nastrój uczuć, który sprawia, że: „Siostry Miłosierdzia pozostaną nazawsze ideałem dozorczyń chorych“, jak wyraził się Dr. Fritsche w „Gazecie Warszawskiej“, w artykule zawiadamiającym publiczność o mającej otworzyć się szkole.

To już zapewnić nas może: jaką będzie szkoła tej atmosfera moralna, co w instytucji tego rodzaju ma ważność ogromną, o powodzeniu jej stanowiącą; bo zawód dozorczyń chorego, choćby najbardziej sekularyzowanej, najzupełniej świeckiej, opierać się musi koniecznie na idei poświęcenia, serca muszą być niezbędnie ogrzane wyższem, ofiarniczem uczuciem miłości bliźniego, gdyż inaczej byłoby to pole pracy tak uciążliwie przykrej, tak narażającej osobę tej, która ją pełni, że musiałoby pozostać odłogiem. Prawdy tej dowodzi historia powstania wyżej wspomnianych *nurses* angielskich. Któż jest ta *miss Nightingale*, co tu pierwsza drogę otwiera; kto jest *Florence Lees*, prowadząca dalej jej święte dzieło? Obie są to wielkie panie, szczęśliwe młode panny, dla których życie ma wszystkie uroki i nadzieje, wszystkie obietnice bytu bez troski, używania jego uciech i pociech najłodszych, których się zrzekają dobrowólnie i ludzkość całą uważając za jedną wielką rodzinę, wyrzekają się własnej. Za mąż nie idą; nie chcą znać nigdy miłości kochanki, szczęścia żony i matki, przykuwają się do życia cierpień, braków, niebezpieczeństw najwyższych i jakkolwiek bez korнету, są niemniej siostrami miłosierdzia, które wyrzekły się świata, zerwały ofiarniczo z jego drogami, wytknąwszy sobie jedną i jedyną: drogę górną, której celem jest poświęcenie. I one też widziały w siostrze miłosierdzia typ swój, bo oto *miss Lees*, przebywszy kurs nauki w zakładzie *miss Nightingale* przy szpitalu św. Tomasza w Londynie; przebywszy kurs drugi nauki dodatkowej u dyakoniss protestanckich w *Kaiserworth* nad *Renem* zwraca się w końcu do francuzkich siostr miłosierdzia i w charakterze siostry-postulantki pozostaje przy nich w Paryżu. A choć dzieli ją od nich wyznanie i narodowość, jednak wiąże się z nimi przez uczucia serca, rzeczywiście siostrzane, i *Smiles*, opisując ten wzruszający stosunek w książce swej, którą czytelnicy naszego pisma mają właśnie sposobność poznawać: w IX rozdziale *Obowiązku*: „Bohaterstwo dobroczynności“, pisze, że prócz praktycznych w zawodzie swym wiadomości, uczuła się od nich „spokojnego wesela wśród trosk i trudności życia, nadziei i wiary w Opatrzność wtedy nawet, gdy wszystko wokoło nas idzie źle i wytrwałej ofiarności, wzniesłego poświęcenia istoty własnej“. — „Tam także — dodaje *Smiles* — nauczyła się, czem dla tych wszystkich, które mają służyć cierpiącym, pielęgnować ich, jest cnota wesołego zadowolenia ducha“.

Taką naukę, taką tradycją szlachetnego uczucia nastroju, zaszcześcić w uczennicach za pośrednictwem siostr miłosierdzia, jest pragnieniem szkoły, która zrozumiała, że nie można traktować tu rzeczy jako rzemiosła jedynie, jako prostej zawodowej pracy, jakkolwiek jest to niewątpliwie jedna z jej gałęzi nowych, mogąca w razie szczęśliwego rozwoju, zająć i utrzymać dość znaczną liczbę kobiet. Niewiadomo mi, jakie będą warunki materialne dla uczennic wykwalifikowanych już, w razie przyjęcia ich na dozorczyń w szpitalach? Przed utworzeniem szkoły, pismo nasze raz jeszcze wróci do tego przedmiotu, dla objaśnienia publiczności co do szczegółów innych jeszcze. Poda je ostatecznie urzędowy szkoły regulamin; mianowicie: czy uczennice znajdują na czas nauki pomieszczenie w zakładzie przy Siostrach Miłosierdzia, dozoru-

jących w szpitalu? Byłoby-to rzeczą ważną ogromnej, niezmiernem dobrodziejstwem dla uczennic, stanowiącem może, aby oznaczyła liczba miejsc 20 zapełniona zaraz została.

Warszawa posiada od zaprzeszłego roku szkołę dyakoniss protestanckich, kształconych przez *Gminę Zboru Ewangelickiego*. z celem głównym pozyskania dla szpitala tejże gminy dozorczyń umiętnych. W swoim czasie pismo nasze podało w *Kronice działalności kobiecej* warunki, na jakich odbywa się ta nauka, udzielana teoretycznie przez *Dra Malczę*, a wspierana praktyką w szpitalu Ewangelickim przy ulicy *Karmelickiej*. Wiek uczennic jest podobnie jak w przyszłej szkole przy szpitalu św. Rocha, od lat 25 do 40; wymagane przygotowanie naukowe również takie same, a pojęcie rzeczy moralne niemniej, zgodne, bo i tu strona podniesienia duchowego, religijnego, zapominaną nie została, i uczennice pobierają naukę religii i moralności od księdza pastora *Otto*. Dotychczas przeciw uzdolnieniu się do zawodu swego tylko dwie uczennice, które dla ostatecznego wykształcenia wysłane były kosztem gminy do zakładu dyakoniss istniejącego pod *Wrocławiem*. Obecnie jest w nauce również uczennic dwie.

Pensya owych dwóch dyakoniss, pełniących już obowiązki dozorczyń w szpitalu Ewangelickim, jest 6 rs. miesięcznie; przytem mają stół i pomieszczenie na miejscu i dostają ubiór, będący uni-formem ich zawodu.

Marya Ilnicka

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Pani potrzebujesz doktora, starania, wygod a przyjdiesz do zdrowia — dodał natręt. — Ja ryzykuję — o cóż pani idzie?

— Ale ja nie, ryzykować nie zwykłam i nie mogę! — odpowiedziałam.

Zerwał się z krzesła, niecierpliw i rozgorączkowany, patrzył na mnie z rodzajem politowania i ciekawości razem.

— Ja ryzykuję chętnie — rzekł z natarczywością. — O co pani idzie? Zerwij z *Duval*em; kładę na stół tysiąc franków i zamawiam dwa oryginalne krajobrazy! Tak: nie powtórzenia tamtych, ale rzeczy nowe, w tym samym stylu i rodzaju. Za każdy z nich — mogą być tych rozmiarów, co pierwsze, dają po tysiąc franków. Jeżeli — jak się spodziewam — powiedzie mi się z nimi, za następne zapłacę lepiej.

Spojrzał mi w oczy. Nie miałam powodu mu odmawiać.

— Z panem *Duval* nie mam umowy żadnej — rzekłam — nic a nic mnie z nim nie wiąże. Przyjmuję zamówienie pańskie, ale zapowiadam, że nie prędko będę mogła zadość uczynić zobowiązaniu.

— Nazywam się *Anatol Joly* — rzekł żywo handlarz — mam sklep, nie w takim kącie, jak ten infamis, ale na *Quai*. Oto mój adres. Ludzie mnie znają jako uczciwego człowieka.

Przyjmij pani radę moją. Pomimo młodości nigdy tu nie przyjdiesz do zdrowia. Trzeba opuścić to mieszkanie i — niech ten infamis *Duval* nie wie dokąd się pani wyniosła. Możesz mieć środki wygodniejszego pomieszczenia się.

— To potrzebuje co najmniej namysłu i czasu — odpowiedziałam z uśmiechem.

Chwilę jeszcze pan *Anatol Joly* usiłował mnie przekonać o swych najlepszych chęciach i bezinteresowności. Rozstaliśmy się dosyć dobrze.

Tysiąc franków zostawił, nie chcąc nawet kwitu na nie; musiałam mu przyrzec tylko, iż dla *Duval*ła żadnej nowej nie podejmę się roboty.

przyjeżdża, przynosi się, umiera, przeprowadza, niedoświadczonemu p. Prosperowi, który języka francuzkiego ledwie tyle umiał, ile mu on na najpilniejsze potrzeby starczył z trudnością, stekroć niepodobniejszym stało się odszukanie Ludmiły.

Umieściwszy się w małym hoteliku, Sitko poszedł najpierw do Wenery z Melos, do muzeów, i usiłując się zbliżyć do młodych artystów, sądził, że od nich jakiejś wiadomości zasięgnie.

Arcydzieła rzeźby z początku go niemal w osłupienie wprowadziły. Nie widział dotąd nic nad odlewy gipsowe, te zimne kopie, często nie-wierne, będące zaledwie cieniem żywych utworów Starożytności.

Bogactwo zabytków, ich rozmaitość, wprawiły go w rodzaj rozpaczy. Mówił sobie, że już nic do czynienia nie pozostało, że ostatnie słowo było wyrzeczone. Chciał się wyrzec mrzonek rzeźbiarskich, ale tem mocniej zwrócił całą usilność na poszukiwanie żywego swego ideału.

Przekonał się jednak wkrótce, że ta pogoń za nim, nie ma najmniejszej nadziei powodzenia. Nie było się o co zaczepić, od czego zacząć. Młodzi artyści, z którymi zawiązać się starał znajomości po kawiarniach i galeryach, o żadnej artystce Polce nie wiedzieli, a zapytania o nią przyjmowali takimi nielitościwymi drwinami z p. Prospera, iż mu się odechciało wkrótce badać nawet już o nią. Błądził poza Sekwaną, przeczuwając, że i ona tu gdzie ukryta być musi, uczył się Paryża i języka, którego wymawianie było dlań nadzwyczaj trudnem, bo się niem krztusił i dławiał, gdy dnia jednego, w oknie handlu, pełnego starych płócien, ujrzał Ludmiłę kościółek, w przepysznych wystawionych ramach. W pierwszej chwili zrobił on na Sitce takie wrażenie, jakby ją samą zobaczył. Zarumienił się, zmieszał, uradował, uśmiechnął do niego i wpadł do sklepu Duval'a, mniej jeszcze umiejąc mówić niż zwykle.

Bełkotanie jego niewyraźne aż nadto zdradzało cudzoziemca, ale powierzchowność niewiele obiecywała. Père Duval zwykł był obejście się swe z klientami stosować do tego, co z ich postawy dawało się wnioskować. Sitko, choć się już przebrał w magazynie gotowych sukien, wedle swojego smaku artystycznego, z twarzy i stroju dosyć cudacko wyglądał. — Duval nie mógł sobie wiele obiecywać po nim. I gdy drżącą ręką pan Prosper mu ukazał krajobraz w oknie wystawiony, nie wstał nawet z wysiedzianego swego brudnego fotela, pokiwał tylko głową i dał do zrozumienia, iż przedmiot ten, na który przechodził zwrócił uwagę, był wielce kosztownym.

Prosper coraz żywiej a coraz niezrozumialej dopominał się objaśnienia.

— Jest to dzieło pewnej artystki — rzekł Duval, która już znawców uwagę zwróciła na siebie — i ma nieochybnie wielką przyszłość przed sobą. Obraz to wysokiej ceny.

— Naprzykład? — zapytał Sitko.

Père-Duval, poprawiając aksamitną czapkę, namyslał się: co ma powiedzieć, badał przybysza. Nie wiedział, co trzymać o nim. Na zbyt natarczywe domaganie się wreszcie położył wygórowaną wartość, patrząc: jakie uczyni wrażenie.

Sitko nie wiedział: co ma zrobić.

— Artystka ta osobście mnie obchodzi mocno — rzekł. — Potrzebuję koniecznie wiedzieć: gdzie jest i w jakim się położeniu znajduje.

Duval po małym namysle, ostro odparł, że on sam o tem nie wie, i zasiadłszy napowrót w krzesło, wszelkiej odmówił informacyi. Sitko nie ustępował, rozgorączkowany. Ofiarował, co miał, za obrazek, byle się dowiedzieć o artystce. Duval stanowczo odmówił, zaczął się dorozumiewać bodaj intrygi współzawodnika, i wartość większą niż wprzód ją przywiązywać do obrazu.

Wszelkich możliwych środków próbując dla wydobywania czegoś z upartego starca, Sitko sobie adres jego zapisał i odszedł zrozpaczony, obiecując sobie wziąć kogoś w pomoc dla dojścia prawdy. Ślad już był: nie wątpił, iż po tej nici dojdzie do kłębka.

W takim usposobieniu gorączkowym, blakając się po mieście i przemyślając: co mu czynić wypadła? na ulicy Rivoli niespodzianie się zetknął pod arkadami z hr. Zygmuntem.

Byłby go może i nie poznał i pominął, gdyby tamten pierwszy doń się nie zbliżył, ucieszony, że go tu znalazł.

Zaledwie się przywitawszy, Sitko nic pilniejszego nie miał nad uwiadomienie hrabiego, co mu się trafiło przed godziną, i o jaki upór się rozbił. Natychmiast hr. Zygmunt wziął fiakra i zabrawszy z sobą Sitkę, pojechał do Père-Duval'a.

Zobaczywszy ich przybywających we dwu, stary domyślił się, iż może dobry zrobić interes. Hr. Zygmunt od razu mu się wydał tem, czem był: wielkim panem, którego fantazją mógł i powinien był wyexploatawać. Udał nadzwyczaj obojętnego. Cena obrazu urosła. Sitko, zdziwiony, dowodził mu, że przed chwilą niższą była. Duval zburezał go, iż nie zrozumiał lub nie dosłyszał.

Hr. Zygmunt obraz nabywał, ale chciał adresu artystki. To naleganie uczyniło Duvala ostrzym, wyklamywał się, tłumaczył, nie wiedział nic: obraz nabył z drugiej ręki.

Hrabia czynił mu propozycje korzystne: nie nie pomogło.

Ofiarował się tylko Père-Duval, za pośrednictwem jakiegoś tajemniczego kogoś, zdobyć drugą tejsze artystki robotę, na co hr. Zygmunt zgodził się w nadziei, że się dowie zarazem o adresie.

Duval łamał sobie głowę nad tem: dlaczego się tak pilno dowiedzieć chciano o Ludmiłę? i obrachował, że bezpieczniej będzie milczeć.

Nalegania i ofiary nie już ze starego dobyć nie mogły. Hr. Zygmunt cieszył się wszakże, gdyż miał dowód, że poszukiwana nie oddaliła się z Paryża i pracowała w nim. Podwojono starania o wyznalezienie jej: bezskutecznie.

Gdy się to działo, czas znaczny upłynął a śladu innego nie natrafiono. Hrabia, w Operze będąc, niespodzianie zaczepiony został przez młodzieńca, którego nie poznał. Przypomniał mu on kogoś, ale prezentował się z takim szykiem, tak poparyzku, z taką śmiałością, iż gdyby popolsku się w końcu nie rozszmiał i nie przemógł, nie domyśliłby się w nim Julka. Nie wiedział o nim wcale, że tu kończył swe ukształcenie w ogródku Mabilly i w Closerie des Lilas.

Hr. Zygmunt rozpoczął z nim rozmowę o rzeczach obojętnych, ale wkrótce Julek paplać zaczął, najrozmaitsze płacząc razem wiadomości brukowe, wspomnienia domowe i plany przyszłości.

— A wiesz-że pan, — zapytał go zniemacka Zygmunt, że kuzynka pańska jest także w Paryżu? Panna Ludmiła....

— Spodziewam się, że wiem! — rozszmiał się Julek. — Spotkałem ją na ulicy; a że mnie nie raczyła ani dać adresu, ani chciała mówić zemną, posłałem za nią w ślad komisyjonera, a potem do niej wyprawilem Buczyńskiego. Ale na nic się to wszystko nie zdało, bo ona nas znać i wiedzieć o nas nie chce.

Hr. Zygmunt z nadzwyczajną natarczywością począł prosić o adres Ludmiły. Julek obiecał go przynieść nazajutrz do hotelu, przepowiadając jednak, że to się na nic nie przyda, bo Ludmiła z nikim z dawnych znajomych widzieć się nie chce. Pochwalił się też Julek, że o niej doniósł ojcu, ale dotąd żadnej od niego nie miał odpowiedzi.

Nie wiedział młody hrabia, iż listy jego do domu pisane przywiązana do syna matka zawsze pierwsza czytała. Tak się i z tym stało. Hr. Alfonsyna odczytała go, nadąsała się i mężowi wcale pokazywać nie myślała, a sama, pisząc do syna, zamilczała zupełnie o znienawidzonej Ludmiśle.

Hr. Zygmunt z niecierpliwością wyglądał adresu, który Julek mu przyniósł; a że fundusze jego były wyczerpane, potrzeby niezmiernie nagłe i dokuczające, przy tej sposobności zaciągnął małą pożyczkę tysiąca franków, z takim szykiem, iż staremu marnotrawcy honor-by uczynił sposób, w jaki ją wyciągnął z kieszeni współziomka. Co najprędzej go potem pożegnał, aby z tak szczęśliwego przyływu skorzystał.

Hr. Zygmunt, zbywszy się go, siadł do powozu i pojechał z bijącym sercem za Sekwanę. Ale tu, w dawnym mieszkaniu p. Ludmiły nic się o niej dowiedzieć nie mógł, oprócz tego, że jej tu już nie było. Portyer został zmieniony, zresztą nikt się nie troszczył o to, co się z lokatorami ubywającymi działo.

Nawet ofiara sowitego nagrodzenia nic nie mogła.

Hr. Zygmunt w kilku biurach informacyjnych zostawił też skazówki, ale i ztamtąd nic dotąd otrzymać nie mógł.

Na traf więc tylko chyba — rachował....

Sitko z niezręcznością wielką, ale z wytrwałością nadzwyczajną, śledził także. Wpadł naostatkiem na domysł, że ów Duval, który nie powiódł, nie chciał, musiał jednakże coś wiedzieć; że należało w trop za nim chodzić, bo mógł po ów drugi obraz przyrzeczony pójść do artystki. Dla p. Prospera nie było nic trudnem, gdy się raz uparł. Nie miał zręczności, lecz żelazny upór. Siadł na czatach i szpiegował Duval'a: na próżno.

Właśnie w tym czasie, gdy się to działo, Ludmiła wyniosła się pod Luxemburg, a Père-Duval, który chciał jeszcze próbować szczęścia, udał się do jej dawnego mieszkania, gdzie już sieroty nie było. Sitko, pilnujący, po odejściu jego wszedł do łóży portyera, z wielką trudnością dał mu się zrozumieć, ofiarował pięć franków i dowiedział się tylko, że wistocie artystka panna Ludmiła Brès mieszkała w tej kamienicy, chorowała bardzo i wyniosła się z niej, niewiadomo dokąd.

Los zdawał się urągać z biednego Sitki, corazto go uwodząc nową jakąś nadzieją i odejmując mu ją natychmiast. Wprawdzie widok Paryża, zbiorów jego i pomników, wynagradzał po części te przykre zawody. Sitko zapominał czasem o swym smutku, lecz nie smakowało mu życie strute tą myślą, że biedna sierota cierpieć gdzieś musiała osamotniona.

Mówiono mu, że była ciężko chora; to powiększało niepokój jeszcze. Błądził tak po Paryżu, niejednym raz przesuwając się w bliskości mieszkania Ludmiły i niewiedząc o tem; parę razy był w ogrodzie Luxemburskim, z którego okna jej widać było. Przeczucia, biedny, nie miał żadnego.

Dość długi już czas wałęsał się po Paryżu, niewiedząc: czy ma tu pozostać czy do upragnionych Włoch się zawrócić, gdy dnia jednego bezmyślnie zaszedł rano do ogrodu Luxemburskiego. Wśród bon i dzieci, na odosobnionej ławce siedział ktoś ubrany czarno, ubogo, z parasolikiem w rękę, kobieta zamysłona, która zapatrzywszy się w ziemię, coś na niej rysowała końcem umbrelki.

Sitko nigdy w życiu nie zabiegał drogi osamotnionej kobiecie; był najobojętniejszym z ludzi, jeśli go nadzwyczajna piękność kształtów nie pociągnęła. Tym razem jakieś dziwne podobieństwo postaci, coś przypominającego mu Ludmiłę, choć twarzy nie widział, popchnęło go ku nieznanym. Im bardziej się zbliżał, tem podobieństwo to zdawało mu się bardziej uderzającym.

W tejsze chwili siedząca, usłyszawszy kroki, podniosła głowę i lekki okrzyk wyrwał się z jej piersi.

Sitko, jak szalony, zdjąwszy kapelus, przypadł do Ludmiły, tchu mu brakło, radość mowę odejęła. Ściborzanka wyciągnęła rękę, pozdrawiając go z żywym uczuciem.

— A! pani! pani! — zawołał Sitko — Takeś się w tym Paryżu ukryła przed nami, że gdyby nie przypadek... A ja głowę traciłem, szukając jej. — Ale któż się mógł spodziewać, że pan zawędrujesz do Paryża! — odpowiedziała Ludmiła.

Sitko się jej przypatrywał tymczasem i, widząc zmianę, jaką choroba uczyniła, bladeść, wychudzenie, osłabienie, które jej stać dłużej nie dozwoliło, cały się przejął jej cierpieniem i lzy mu z oczów wytrysły.

Chociaż otarł je bardzo zręcznie, artystka je dojrzała; wskazała mu siedzenie na ławce przy sobie.

— Wiedziałem od dawnej gospodni pani, żeś była mocno chora, — począł p. Prosper, — ale pani jeszcze nie jesteś zupełnie zdrową.

Ludmiła się uśmiechnęła.

— O! teraz już lepiej mi znacznie, — rzekła. — Wierz mi pan: ci, co są przeznaczeni, aby pewne próby życia przetrwali — nie umierają. Byłam chora, nie leczyłam się i zdrowie powoli wróciło. Ciężkie-m dni przeżyła.

— I do nikogo się nie odezwałaś pani? — zapytał Sitko.

— Pan wiesz, że ja nie mam nikogo, — odparła Sciborzanka.

Sitko o sobie wspomnieć nawet nie śmiał, tak się uważał daleko od niej, gdzieś na nizinach węgietującym sługą.

— Jesteś pani niesprawiedliwą, — odparł po namyśle. — przecież ja znam kogoś co nadludzkie prawie robił i robi wysiłki, aby choć wieść dostać o pani; a ani on, ani ja, nie bylibyśmy znaleźli jej, gdyby nie przypadek.

— O kim pan mówisz? — zapytała, rumieniąc się Ludmiła, — juściż nie o stryju?

— Nie, mówię o najlepszym pani przyjacielu, jak-em się miał sposobność przekonać o tem: o hrabi Zygmuncie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

P. WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

O SOKRATESIE I PLATONIE.

Zajmujący się Grecją i filozofią p. Wojciech Dzieduszycki do tegorocznych odczytów swoich na dochód Towarzystwa Osad Rolnych (w d. 28—29 Kwietnia i 1 Maja) wziął za przedmiot filozofią grecką, na tym jej najwznioslejszym, najwdzięczniejszym szczeblu, który imionami swemi oznaczyli Sokrates i Platon. Wykład, na sześć godzin rozproszony, miał dla siebie dogodniejsze już warunki niż zeszlóroczne odczyty filozoficzne p. Dzieduszyckiego, zamknięte w ramy takiego samego czasu, a poświęcone samym ogromem swym uderzającemu przedmiotowi, bo *Historii filozofii powszechnej*. Ograniczywszy się do *Sokratesa i Platona*, każdy popularyzator wiedzy filozoficznej może już powiedzieć słuchaczom swoim tyle, ile potrzeba do tego, aby słuchanie odczytu nie było prostem tylko zabiciem czasu, ale rzeczywiście rozszerzyło zakres wiadomości i wzbogaciło umysły, choćby przez samo tylko przebywanie w sferze najwyższych zagadnień, najwyższych tajemnic, trudów i walk myślowych ludzkości.

Przeszlóroczny wykład nie odpowiedział wcale swemu zadaniu, tegoroczny tylko w pewnej, dość skromnej, mierze. W roku zeszłym p. Dzieduszycki chciał odbyć podróż zbyt prędko i koń pod nim padł; w roku bieżącym znowu podróżował zbyt wolno i czas zmarnotrawił. Sokratesowi poświęcił 3 godziny prelekcyjne, Platonowi tylko jedną: a przecież wiadomo, iż pod samym tylko ilościowym względem, wzięta tylko na ogrom, nauka Platona jest jakie kilkadziesiąt razy większą od Sokratesowej. Niezachowanie należytego stosunku zepsuło wykład.

P. Dzieduszycki twierdzi, że jednej nauki od drugiej ściśle oddzielić nie podobna. „Ścisła“, co do każdej najdrobniejszej myśli, bezwzględnie, nie; ale w sposób taki, jaki wystarcza dla wiedzy popularnej, nietylko można, ale i niezbędnie potrzeba. Historia filozofii wydzieliła jeszcze w zeszłym wieku ze wszystkich prawdziwych, wątpliwych i fałszywych pism Platona grupę „Rozmów sokratycznych“ i w niej przedewszystkiem wskazała zbiornik szczegółów o życiu i nauce syna Sofoniskowego, przez ukochanego jego ucznia potomności przekazanych. Historia filozofii również oznaczyła sumę pewnych prawd Sokratesowi, jeśli nie z całą pewnością, to z prawdopodobieństwem wielkiem, przypisać się dających. Wykład popularny może śmiało poprzestać na tem, co zadawała naukę ścisłą, poważną, i nie potrzebuje zapuszczać w przeszłość, tak już głęboką, sondy sceptycyzmu: będzie rozgrzeszonym, gdy się tylko na umysłach powagę w nauce mających oprze. Przytem, od czego Xenofont, pogardliwie przez prelegenta dylettantem nazwany? Cztery jego pisma o Sokratesie, zwłaszcza zbiór rozmów znany pod tytułem *Wspomnień*, w wielu miejscach dosłownie zgadza się z Platonem; *Obronę Sokratesa* uważają uczeni za historycznie wierną, a *Memorabilia*, nietylko nie zasługują na takie lekceważenie, jakie się im dostało od p. Dzieduszyckiego, ale owszem stanowią poważne świadectwo, na które powołują się najpierwsi pisarze. Dawno już ustalila się zasada, że do życiorysu Sokratesa daleko poważniejszym źródłem jest Xenofont, zwłaszcza w *Memorabiliach*, niż współuczni jego Platon. Czemu więc p. Dzieduszycki Xenofonta z taką wzgardą odtrąca? Chyba dlatego, że go jeszcze niedostatecznie poznał; a dobrze było przypomnieć sobie choćby to, co o pogardzonym piśmie E. Curtius.

Mówiąc o Sokratesie, musiał prelegent więcej czasu poświęcić jego żywej działalności, jego życiu, niż jego nauce uważanej w oderwaniu od życia. Sokrates nauczał, żyjąc: z filozofii nie robił sobie osobnego zawodu, nie zasiadał przy stole i otoczony księgami nie spisywał myśli swych dla potomności; ale chodził po Atenach, wstępował do domów zamożniejszych obywateli, przystawał na ulicach i placach, przechadzał się pod cieniem platanów,—a zawsze i wszędzie z tym „demonem“ swoim, za którego śmierć poniósł. Czy był „miłym gadułą“, czy go wogóle „gadulą“ nazywać wolno: wątpliwy. Xenofont w *Biesiadzie* maluje nam go jako wesołego tow. rżysza: podobnież zaznawuje się postać myśliciela u Platona, był więc Sokrates, „bóg pod twarzą Satyra“ niewątpliwie „miłym“ ale, jeszcze raz, czy był „gadulą“. Podobizna Sokratesa jaką nam p. Dz. dał w pierwszych dwóch swoich prelekcjach, wcale nie była pochlebna i, pomimo przelewającego się aż po brzegi czasu, nie posiadała ani dokładności, ani pełniści należytej. Ten Sokrates p. Dz., obcho-dząc domy „możnowładców“ ateńskich, trochę pieczeniarkstwem trącił; dla poprawienia obrazu wystarczało rzucenie go na silne, artystycznie wykonane, tło panującego podówczas *powszechnie* obyczaju. Wrażenie było jeszcze niekorzystniejszem przez to, że prelegent ani jednym słowem nie wspomniął o czynach wojskowych Sokratesa, o jego odwadze i przytomności umysłu w bojach okazanej a poświadczanej przez pisarzy różnych, odległych epok, jak Platon i Diogenes Laërtius. O „możnowładców“ w Atenach Sokratesa można by się posprzeczać z p. Dzieduszyckim. Ci „możnowładcy“ jakoś zanadto nowożytnie wyglądali w prelekcji. Czy istotnie zamożniejsi, zbytkujący obywatele byli możnowładcami? a zwłaszcza czy wolno mówić o całych rodach możnowładczych w Atenach V i IV w.? Nie sądzimy.

Powiedzieliśmy wyżej, że Prelegent, mając mówić o Sokratesie i Platonie, zawiele miejsca poświęcił ojcu z ducha, zamało synowi. Podobna, jeszcze bardziej rażąca, niestosunkowość objawiła się wewnątrz samego wykładu o Sokratesie. Sofistami i sofistyką zajmował się p. Dzieduszycki blisko przez godzinę czasu. Odczytywanie rozmaitych rozmów wykazujących fałszywe rozumowania zbytecznym było w wykładzie, nad którym od samego początku wisało groźne *memento* o Platonie, a któremu wystarczała ogólna charakterystyka logicznej metody sofistów. Zdaje nam się, że zamiast przytaczania przykładów, obracających się wciąz naokoło jednego i tego samego typu, lepiej było wskazać fałszywą zasadę, na której się typ ten opierał. Odczytywanie rozmów wykładu nie ożywiło, a zabrało czas drogi, bardzo drogi.

Metodę sokratyczną: wyprowadzania pojęć z rzeczy i rozwijania myśli z zawiązków pierwszego pojęcia, Prelegent zna i przystępnie wyłożył ją umiał. Nie wiemy dlaczego teorya platońska dobra prawdy i piękna, z *Hippiasza*, *Symposiona* i *Fedra*, znalazła się przy Sokratesie; a stanowczo już za niewłaściwe uważamy wyłożenie Nauki o ideach w miejscu, na którym wydawać się ona musi teoryą sokratyczną. I p. Dzieduszyckiemu i każdemu, co tylko z podręcznikami miał do czynienia, wiadomo, że nauka ta i historycznie i rozumowo stoi wobec sokratyzmu całkiem niepodległe i stanowi rdzeń całej filozofii platońskiej. Platon wychodzi wprawdzie z tego samego, co i Sokrates, założenia, łączy się myślowo z Heraklitem, Parmenidesem, Pytagorejczykami, ale tę okazałą budowę, jaką jest jego ideologia, wznosi samoistnie, według własnego planu i w pocie własnego czoła.

Opowiadanie śmierci Sokratesa pozbawione

było należytego ładu, dokładności historyczne i wdzięku. Zamiast stylu, mieliśmy tu gawędziarstwo. Chcąc dać wyobrażenie porządne o pobudkach, które skłoniły demagogią ateńską do wytoczenia procesu mędrce, należało pokrótce opowiedzieć panowanie i upadek Trzydziestu, scharakteryzować ducha zwyciężkiej przeciwko nim reakcyi, ustosunkowanie się Sokratesa do Krycyasza i innych i na koniec postawę jego za czasów tej gospodarki, której kres położył Trazybul. Do przedstawienia samej chwili śmierci nie zużytkował Prelegent należyte ani wspaniałego *Krytona* Platónowego, ani autentycznej *Obronę*, przekazanej nam przez Xenofonta, ani wreszcie wiadomości na innych miejscach przez tegoż pisarza podanych.

Wogóle wykład o Sokratesie był niedobrze pomyslanym i niedobrze wypełnionym właściwą treścią historyi i filozofii. To, na co p. Dzieduszycki potrzebował przeszło czterech godzin, mogło być doskonale zawrzeć się w rozmiarach jednej godziny. Zamiast wykładu wysłuchaliśmy pogawędki bardzo nieporządnej, niezdolnej prawdziwie dażyć do tego, aby wykład jego nie miał żadnej formy, osiągnął to, że w wykładzie jego było niewiele treści. Nazywanie Diotymy z *Symposiona* „Deotymą“ uważamy za prosty *lapsus*.

Z jednej godziny prelekcyjnej, która pozostała dla Platona, skorzystał p. Dzieduszycki, jak tylko mógł najlepiej. Gawędzenie ustąpiło tu już miejsca porządnemu wykładowi; w umyśle Prelegenta zapanowało chwalebne żeśrodkowanie, zwięzłość, pewność i jasność. Prelegent szedł widocznie za jednym z niezawodnych przewodników, jakimi są uczeni niemieccy, którzy całą dziedzinę filozofii platońskiej nawskróś przeorali; trzymał się może Cousina. Uzupełnił nam wykład nauki o ideach, nie dał jej jednak w całej jej pełni i dokładności; przedstawił sceptycyzm Platona o wiedzy drogą zmysłów wchodzącej; odmalował eleatyczne przeświadczenie jego o niebycie zewnętrzności i tęskne porywy do bytu rzeczywistego w świecie idei czystych; ukazał panującą nad wszystkim ideą najwyższego dobra, Boga; wyłożył pojęcia kosmogoniczne wielkiego Greka, naukę o stwarzaniu, bytowaniu i przechodzeniu dusz, o naturze duszy niższej i wyższej, o demiurgach i bogach podrzędnych, o budowie wszechświata i stanowisku w nim ziemi, o gwiazdach i dalszych kregach niebieskich. Wszystko to dało niezgorsze wyobrażenie o filozofii Platónskiej i wynagrodziło słuchaczy za zawód doznany na trzech pierwszych godzinach. Zajęcie się wykładem było tem żywszem, iż go wzbogacił Prelegent ciekawym opisem obrządków religijnych, w wielkiej tajemnicy współcześnie utrzymywanych, jaknajsurowiej ezoterycznych, w Eleusis pod Atenami. W tych obrządkach ileż jest rzeczy chrześcijańskich! Ta pokuta, ta spowiedź, to wyznanie wiary i oczyszczenie, chrzest nawet: wszystko to chrześcijańskie.

Dużo jest chrześcijaństwa w samym Platonie, przedewszystkiem w jego moralności. Obraz człowieka cnotliwego i jego stosunku do Boga w ry-sach rozproszonych po *Rzpltej*, *Prawach*, *Filebie*, *Gorgiaszu*, *Fedrze* i innych zawarty — niczem się od ideału chrześcijańskiego nie różni: tażsama ufność w Bogu, tażsama poddanie się mu, tażsama cześć, posunięta aż do zakazu: „Nie będziesz brał imienia mego nadaremno“, tażsama wywyższenie dobrych uczynków, zalecenie miłości i miłosierdzia, tażsama konieczność ograniczenia potrzeb zmysłowych, tażsama wstrzeźliwość w szczęściu a cierpliwość w niedoli, tażsama oparcie moralności na religii; a ponad wszystkim i we wszystkim Bóg. Żaden Ojciec Kościoła nie powiedział o człowieku cnotliwym słowa tak pięknego, jakie znajdujemy w *Eutydemie*: „Człowiek dobry jest rzeczą najświętszą u Boga i największą dla niego świątynią“. Za moralność swoją, za swoją ideą Boga i ideał człowieka, Platon prawdziwie „boskim“ nazywać się ma prawo. Miał też prawo i Prelegent w końcu odczytu rzucić kilka świetnych promieni krasomówczych na to wspaniałe, nadługo jeszcze nieśmiertelne, czoło syna Arystonowego.

Skoro mowa o podobieństwach upatrywanych

między chrześcijaństwem a praojcem idealizmu, nie podobna zamilczeć, że p. Dzieduszycki za nie wzruszony pewnik przyjmuje to, iż filozof grecki uznawał istnienie trójcy bożej. W mniemaniu takim, wyłożonem jasno i wymownie, wspierają go nieładada powagi: bo Św. Klemens Alexandryjski, Św. Justyn, Orygenes i inni. Pomimo takich powag jednak, rzecz sama nie ma jeszcze dotychczas niewzruszonych filologicznych i logicznych podstaw w textach Platona. Wyrażenia są, ale mogą być tylko obrazami myślowymi, niezawierającymi w sobie idei danej, danego przeświadczenia. Możeby sam p. Dzieduszycki, miłośnik rzeczy greckich, w dalszych, coraz bardziej pogłębiać się mających, studiach swoich, zabrał się zczasem do wyluszczenia z dzieł Platona wszystkich podobieństw zbliżających naukę jego do chrześcijaństwa. Były to przedmiot poważnie naukowy, ogólnie zajmujący — wdzięczny.

Przedstawienie filozofii Platona zakończył Prelegent obrazem jego państwa; uczynił to w sposób staranny, lecz jeszcze bez pożądanej ścisłości. Platon nie stawia ideału swego dla całego społeczeństwa, ale tylko dla dwóch jego klas przednich: rządzącej i broniącej. Wszystko, co się w utopii platońskiej mieści: wspólność żon, bezimienność dzieci, zniesienie własności, równouprawnienie kobiety z mężczyzną, ograniczenie muzyki i poezji, stosuje się do wierzchołków. Tam ma być urządzony ów klasztor wzorowy, owa natura postawiona przeciwko naturze. W dole może dalej żyć, pracować, kochać i nienawidzić, łączyć się i rozłączać, posiadać i za zyskiem gonić, bawić się i cierpieć podawnemu najlichnieszka klasa: pracujących — właściwe społeczeństwo. Marzenia też Platona właściwie na *społeczeństwo*, a nie na *państwo*, się rozciągają; wyrazowa tylko jedność wprowadziła pomieszanie pojęć przy ogólnikowych wzmiankach. Różnicę powyższą niezawsze i niewszędzie uwzględniają nawet na uniwersytetach; a jest ona bardzo ważną. Czysto państwowe pojęcia Platona zawierają się w jego pomysłach prawodawczych w *Rzeczypospolitej* i w *Prawach*. Platon jest arystokratą przez to, że chce rządu najlepszych: i któżby takim arystokratą być nie chciał! Minęły już w Europie czasy zachwyty nad *demosem*, dlatego tylko, że demos.

Stanisław Krzemiński.

WYCIECZKA DO ROUEN

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wszystkiemu temu Quandt winien! Znaie, szanowni czytelnicy Quandta? Nie — i ja także nie znałem go za żywota, ale po śmierci figla mi wyplatał.

Zdaje się jednak, iż chcąc odrazu wejść *in medias res*, źle list mój zacząłem. A i temu winien Quandt, bo, gdyby nie on, nie zaziębiłbym się w Rouen, nie kaszlał tak okrutnie i kaszel-by nie wpłynął na — formę korespondencji.

Zacznijmy więc inaczej.

We wszystkich podręcznikach i książkach, które mówią o cudnej Rafaelowskiej Madonnie di San Sisto, znajdującej się w galerii drezdeńskiej i panującej tu ponad wszystkimi arcydziełami sztuki; — we wszystkich podręcznikach czyta się wzmiankę, iż w mieście Rouen we Francji, w opactwie Ś. Amada, znajduje się druga Madonna Rafaela, zupełnie do Syxtyńskiej podobna, z tą tylko różnicą, iż Ś. Amad, patron, pod którego wezwaniem kościół opactwa był wzniesiony, zastępuje Ś. Syxta, a infuła — tyarę.

Quandt niemiecki, jakby to powiedzieć? — miłośnik i znawca sztuki, był w Rouen, obraz ten widział i napisał rozprawę poważnie roztrząsającą pytanie: która z tych dwóch madon jest prototypem?

Ponieważ o obrazie tym zawsze jakoś było bardzo cicho, możebym zwątpił o Quandcie i o Madonnie, lecz przypomniałem sobie, że po śmierci

tego znawcy sprzedawano w Dreźnie obrazy przez niego we Włoszech zebrane, a te dowodziły rzeczywistości, i znajomości rzeczy, i wykształconego smaku.

Jakże tu niewierzyć, jak drugiej Madonny Rafaela i porównania jej z Syxtyną nie być okrutnie ciekawym? Sądźcie mnie wszyscy, co sztukę kochacie.

Wprawdzie wycieczka ta do Rouen była dla mnie bardzo trudną; potrzebowałem wracać szybko; byłem wcale niezdrów a zmęczony wielce. Zapytałem nieśmiało przyjaciela mojego, p. Władysława Chodźkiewicza: Ile godzin drogi potrzeba było dla dostania się do Rouen? Pospieszny pociąg nie potrzebował trzech godzin nawet! Być o trzy godziny od tak ciekawego dzieła sztuki i — niepojechać, zdawało mi się — zbrodnią, tem większą, że — że dziś tak bardzo na przyszłość rachować i odkładać nie podobna.

P. Władysław zapytał naturalnie: Co mnie do Rouen i przepysznych jego pomników architektury ciągnąć mogło? Kościół S. Ouen, S. Maclou, katedra czy Pałac Sprawiedliwości? Musiałem się przyznać do Rafaela.

Ale ba! Gdy po Niemczech broszura Quandt'a sławę madonny Ś. Amada rozniosła, tu o Ś. Amandzie, o kościele, o Madonnie, żywa dusza nie wiedziała. P. Władysław, z obowiązku bywający w Rouen, nic nie słyszał o niej.

— Zmiłuj się, — począł z nieubłaganą logiką i flegmą, Francuzi, oni, co z każdej rzeczy, która w ręce ich wpadnie, jaknajwięcej starają się dobyć rozgłosu, nadać jej najogromniejsze znaczenie, oni! oni-by, posiadając drugą Syxtynę, siedzieli z nią cicho? To nie może być.

Ja broniłem się znawstwem Quandt'a, uczonością i dokładnością niemiecką. Napisano do Rouen. Odpowiedzi były niejasne. P. Władysław z niedowierzaniem poruszał ramionami; ja upierałem się szukać Madonny.

Nie z wielką może nadzieją powodzenia, lecz z polską prawdziwie gotowością dzielenia losu przyjaciela, p. Władysław ofiarował się jechać ze mną.

W Hyères jeszcze postanowienie było niewzruszone, a z rachuby dni mi pozostałych wypadł na Rouen dzień 3 Maja.

Tymczasem tu i ówdzie pytaliśmy, szperali, szukając śladów Madonny. Co najgorzej, istnienie opactwa Ś. Amada stawało się wątpliwem. Mnie to poprostu oburzało; nieświadomość przypisywałem lekkomyślności Francuzów.

Dnia 3 Maja niebo zrana okazało się zachmurzonym, szarem, a wiatr północny smagał tak, jakby śnieg przepowiadał. Potrzeba było z hotelu ruszyć o siódmej, ziewając, co nie dodało humoru. Lecz lokomotywa swisnęła i pociąg ruszył z dworca Św. Łazarza.

Po Francji południowej, której blasków pełne miałem oczy jeszcze, kraj, jakimś przebywać byli zmuszeni, wydawał się dosyć smutnym. Tam rzuciliśmy wszystko w najbujniejszej zieleni i kwiecie. Całe pola róż, woniejące eucalyptusy, palmy ze złocistemi wiązkami kwiatów, juki i aloesy, strzelające słupami... tu... drzewa zaledwie puszczać zaczynały, a jabłonie, które cydru dostarczają Normandyi, nieśmiało rozkwierały białe kielichy. Brzegi Sekwany, którą sześć razy przebywać potrzeba, a widzi się ją ciągle prawie — nie są urocze. Minąwszy bliższe okolice Paryża, kraj prozaiczny i niczem nie uweselony; ruin i zamków niema nawet.

Nakoniec ukazuje się miasto z przepyszniemi wieżycami i strzałami gotyckiemi swoich kościołów. Zapowiada się wspaniale, obiecująco; wiatr smaga nielitościwie; ja się cieszę. Jestem pewny, że znajdę Ś. Amada; lecz, naczeto zupełnie wyjechawszy z Paryża, potrzebuje kropli czegośkolwiek: jedziemy do portu i położonych w sąsiedztwie jego kawiarni. Mnie się nigdy w życiu nie trafiło innej wybrać tylko najgorszą. I tym razem los mój mnie nie minął. O Ś. Amada zapytany, woźnica odpowiada jakoś dwuznacznie.

Kupujemy pierwszy lepszy przewodnik Rueński, w którym o opactwie mowy niema, a o Madonnie tylko słów kilka: że się znajduje w Nowem Muzeum.

Tymczasem fiakr nas wiezie na jakąś ulicę, do jakiegoś passażu, nadzwyczaj brudnego. Za nim znajduje się jeszcze brudniejsze podwórze, a w niem część starego, drewnianego i rzezbami zniszczonemi ozdobnego domu, który miał jakby do opactwa należeć. Starożytność ta dziś znajduje się w stanie najopłakawszym. Poza nią, za nowemi przymurkami, widać jakby portal ogromny ostrołukowy, ale przecięty w połowie ławą nowego muru i należący do mieszkalnego domu.

Ruiny spalonego naostatku opactwa tego, którego fundacya sięgała 1030 roku, dziś, niestety zmieniły się nowemi, po roku 1876 i pożarze, przez budowaniami do nieodgadnienia.

W milczeniu jedziemy do nowego muzeum, bo tam schroniła się owa moja, pożądana Madonna.

Muzeum, szczęściem, jest otwarte codziennie, bezpłatnie, do czwartej. Wpuszczają nas...

Sale piękne, obrazów różnych dosyć; oczyma gonię za ową Quandt'a Syxtyną drugą, i otoż ona...

Umieszczono ją bardzo wysoko, na ramach stoi podpis, upokarzający: kopii z Rafaela. Jedno spojrzenie na obraz wystarcza, aby go usprawiedliwić. Tak! tak! jestto kopia niewątpliwie dosyć mierna, w której tylko tyarę papieżką zmieniono na infułę i pastorał. Typ twarzy Św. Syxtusa tensam pozostał. Św. Katarzyna bez zmiany. Aniołki, bez wdzięku tak samo się tu mieszczą, jak w Syxtynie...

Ale owa cudna, majestatyczna, ubóstwiona dziewica królowa, matka Boża, która z obrazu Syxtyńskiego w Dreźnie patrzy na świat temi oczyma niewysłowionego wyrazu, pełnemi smutku, współczucia, zadumy, jakby, na chwilę z niebios modlitwą wywołana, tęskniła za niemi, tu, stoi zimna, inna, bezsilnie powtórzona tylko temi rysy nieudolnemi, które, nawet wiernemi będąc, nie mówią.

Chłód wieje z obrazu.

Potęga, z jaką Rafael rzucił na płótno to jedno z arcydzieł swoich — znikła. Wykonanie techniczne ciężkie, niezręczne, draperye blaszane, obłoki ustóp Madonny twarde, zasłona obejmująca to widzenie zaciśnięta, dusząca. O harmonii kolorytu, którym i oryginał, wyrazem mistrzowski, nie odznacza się — tu nawet mówić się nie godzi.

— Vicisti Galilae! — musiałem z westchnieniem odezwać się do tryumfującego p. Władysława. Nie mogę jednak przyznać się, bym żałował mojej do Rouen wycieczki, bo w samym muzeum, jeden obraz, według mnie cudownej piękności, jużby ją opłacił.

Przypisywano go van Eyckowi, potem Memlingowi i w ostatku odkryto na nim podpis zupełnie nieznanego artysty Gerarda Davida. Sama wzmianka dwu imion poprzedzających już go ponieważ charakteryzuje. Jest to sztuka wychodząca z kolebki pod pierwszym tchnieniem religijnem, które jeszcze siły swej nie straciło; jest to coś dziwnie naiwnego, na swój sposób realistycznego, pełnego wdzięku, którego żaden Overbeck, Veith ani Fürich obrazom swym archaicznym nadać nie umieli.

Sam pomysł jest oryginalny. W pośrodku siedzi na tronie Matka Bozka, z dziećciem na kolanach, które trzyma winne grono. Za nią w głębi dwa anioły, dokoła siedzące święte dziewice (jedenaście) opiewające jej chwałę. W lewo z poza nich wygląda, jak się zdaje, głowa donatora. Obraz malowany z wykończeniem niezmiernem, pomimo wielkości swej (figury więcej niż pół natury), z miniaturowym staraniem. Oblicze głównej postaci bardzo piękne, ma w sobie coś z madon Holbeina. Kilka z dziewic, widocznie z natury malowanych, odznacza się pewnym wdziękiem naturalistycznym. Obraz-to, który więcej może wart jest, niż całe zresztą muzeum ze wszystkiemi swemi starszemi i nowszemi płótnami, Jouventem i t. p.

Oprócz obrazu, pomniki architektury, w których ostatnia epoka rozkwitu gotyckiego przemaga i przejście do Odrodzenia — są piękności niezrównanej. Kościół S. Oueua zewnątrz i wewnątrz jest w swym rodzaju arcydziełem, S. Maclou — cackiem i klejnotem wydzierżganym jak kornka.

Lecz o kościołach tych, o ich starożytnych

oknach, o pałacu sprawiedliwości, o wielkim zegarze i t. p. możnaby — pisać tomy. Zawód doznany odjął mi wiele entuzjazmu i ochoty do dłuższego rozpatrywania się w mieście, pomimo przeróbek, odnawiania, ruin, pełnem jeszcze motywów przesłicznych, szczególniej dla malarza. Dziedzielnik Hotelu Bourgtlioulde sam jest obrazkiem gotowym, do którego nic dodać, nic od niego odejmować nie trzeba, by stanowił rzecz nadzwyczaj malowniczą. Jeden promyk światła rzucony ukośnie — i cudnaby rzecz narodzić się tu mogła.

Przebiegłszy kilka ulic i przekławszy razy kilka Quandt'a, musieliśmy iść na dworzec kolei i siąść do pierwszego pociągu, który po nocy, powoli, zmęczonych, po godzinie dziesiątej wyrzucił na bruk paryżki. Dla mnie pozostaje zawsze zagadką sąd Quandt'a i wszystko, co pisze o Madonnie tej. Gotówbym nieledwie przypuścić, że stara Madonna z opactwa S. Amanda powędrowała gdzieś... nie wiem dokąd, a kopią umiano ją zastąpić.

Co to jest być upartym!!

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań, w Maju 1881 r.

Nie wesoło nam majowe słońce latoś przyswieca; jaskrawiej tylko uwydatnia biedy nasze. Materyalna przyszłość Księstwa w coraz czarniejszych występuje kolorach. Niema prawie dnia, żeby dzienniki nie przyniosły nam jakiejś smutnej wieści, nowej sprzedaży majątków polskich, w obce przechodzących ręce, nowej karawany wychodzącej, opuszczającej siła nasze, aby się w Ameryce osiedlić. Lud nasz, lud, jakby zarazony, zaciera swój narodowy charakter, pozbywa się odwiecznego przywiązania do rodzinnego miejsca i wioski i parafii, traci nawet religijne poszanowanie dla świąt uroczystych, niegdys tak pobożnie i serdecznie obchodzonych. Ruch emigracyjny bynajmniej się nie zmniejszył około Wielkiej Nocy, owszem, w samą nawet Wielką Niedzielę, tłumy wędrujących za morze włóścian snuły się po dworcach kolei żelaznych. Nieraz dziwne wśród tych biedaków wydarzają się wypadki. Niekiedy cała rodzina razem wędruje, czasem mąż i ojciec naprzód wyjedzie na zwiady, aby później ściągnąć za sobą żonę i dzieci. A zdarzyło się już, że wieśniaczka, skuszona złotem i obietnicami zamorskiej krainy, zostawiła w domu i w kraju męża niedołęę, mówiąc przy pożegnaniu: — iż kiedy on radzić o wspólnej biedzie nie umie, to ona spróbuje, azali jej się nie uda het tam daleko zrobić majątku. — Co najgorsza: oto, że w wyludniające się powiaty Księstwa, w kilku już miejscach, sprowadzono z niemieckich okolic Landsberga i Świebodzina robotników, gotowych kolonizować poswojemu opuszczone zagony. Z Nowego-Yorku przychodzą wieści, iż nigdy jeszcze liczba emigrantów nie była dorosła tegorocznemu przyływowi tułaczkiej fali. Statek za statkiem przybija do portów amerykańskich, wyrzucając z siebie liczne tłumy szukających szczęścia, głównie z granic Cesarstwa Niemieckiego. Jeżeli tak często w mych listach powracam do tego przedmiotu, skutek to utrwalonej troski, jaka zład zawisła nad nami, nad ludem naszym i przyszłością narodową.

Rok bieżący pod żadnym względem pomysłnej nie rokuje nam odmiany. Po przeciągłych mroźach, uporeczają mamy suszę, a wbrew przysłowiu, wymagającemu dla urodzajów ciepła w Kwietniu a wilgoci w Maju, mieliśmy bardzo zimny Kwiecień i nader suchy, jak dotąd, Maj. Przytem zastój handlowy, nie do opisania: już jarmark za pasem, a nikt się o wełnę nie pyta. Życie zamarło na głównych nawet drogach odbytu. Tylko ruch cukrowniczy rozwija się na wszystkich punktach naszego Księstwa, zapowiadając szumnie erę złotą, dla uczestników spółek akcyjnych. Budowa nowych, drugorzędnych kolei żelaznych,

powinna także wpłynąć na poprawę stosunków ekonomicznych, chociaż drogi postanowione i wytknięte już dzisiaj mają podobno bardziej militarne cele, aniżeli materyalny pożytek na oku.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk postanowiło w tym roku ukończyć swe wewnętrzne urządzenia przebudowaniem frontowego gmachu Muzealnego, podczas gdy kilka już sal i galerij zupełnie wykonanych i ułożonych, daje miarę, czem będzie całość tego przybytku.

Ubiegła zima nadzwyczaj była obfitą w odczyty i prace uczonego grona. Czynność, mianowicie historycznego wydziału, zaznaczyła się świetnie; ale i wydział przyrodniczy nie zasypiał sprawy. W ostatnich dniach, przy licznych udziale członków Towarzystwa, hr. August Cieszkowski wygłosił bardzo ciekawą rozprawę: „O drzewie australickim, zwanem *Eucalyptus globulos*“. Drzewo to, ciekawe z wielu względów, należy do rodziny roślin myrtowych (*myrtaceae*), a rośnie nadzwyczaj szybko. Nasze doniczkowe okazy słabe tylko dać nam mogą wyobrażenie o sile i żywotności drzewa rosnącego prawie w oczach, bo w kilka lat staje się ono olbrzymiem, a dochodzi w ostatecznym rozwoju do wysokości stu kilkunastu metrów, naturalnie, pod ciepłem i działaniem zwrotnikowego słońca. *Eucalyptus* dostarcza medycynie wielu środków leczniczych; w korzeniach i liściach jego znajduje się pierwiastek gorzki, silniej działający od chininy. Olejek lotny, wyrabiany z tego drzewa, używanym jest w wielu chorobach. Ale nad własności lecznicze, posiada *Eucalyptus* jeszcze inne, wyższe, które hodowanie jego czynią nader użytecznym. To też nie braknie już podobnych plantacji w Ameryce, Algieryi, a nawet południowej Europie. Przekonano się, iż żywe drzewo niezmiernie dobroczynne wokoło rozlewa wpływy. Wydaje najprzód z siebie wyziewy dezynfekcyjne, niszczy żywoły rozkładowe, oddala febrę z miejsc, gdzie przedtem grassowała, wyczerpuje bardzo szybko wodę z bagien, na których zostało posadzone. Widoczne a szybkie osuszanie miejsc eucalyptusami obsadzonych, pozwała w korzeniach tego cudotwórczego drzewa upatrywać środek naturalnego drenowania, i to tak silnego, iż prelegent w śmiałej hipotezie, przypuścił możliwość oczyszczenia i uzdrowienia samej nawet Rzymskiej Kampanii zapomocą eucalyptusowych plantacji. Niestety! roślina to egzotyczna i nie łatwo da się zaaklimatyzować pod zimnem naszym niebem. Wszelako wolno podjąć w tej mierze racjonalne próby. Ale przedewszystkiem hr. Cieszkowski zaleca hodowanie doniczkowe eucalyptusów, zwłaszcza w mieszkaniach ubogich ludzi, w szkołach, szpitalach, uniwersytetach, jako środka dezynfekcyjnego i higienicznego dla oczyszczania powietrza i niszczenia szkodliwych wyziewów. Szybki i silny wzrost tej rośliny, można karłowatą wstrzymać kulturą, a łatwy ten sposób oddalania, nieraz u nas panującej, febrzy, powinien zastanowić tych, co dziś gorliwie się zajmują higieną publiczną, a mianowicie ulepszeniem lokali szkolnych. *Eucalyptus* polsku nosi miano „Rozdrębu żywicznego“. Odczyt hr. Cieszkowski, aczkolwiek praktyczną i higieniczną mianowicie zajmował się stroną: zastosowania tego drzewa dla ogólnego pożytku, obfitował jednak w barwne i wdzięczne ustępy, błyskał nawet ową poezją, co-to znikając ze społeczeństwa, chroni się jeszcze w tych kilku umysłach i sercach, które nam dochowały szlachetnych tradycyjn niedalekiej przeszłości. Hr. Cieszkowski, filozof i ekonomista pierwszorzędny, jest zarazem i poetą, w całym szczytnym tego słowa znaczeniu, poetą w życiu i słowie, w myśli i czynie. Tą poezją rodzimą owianym był też jego zajmujący odczyt, zakończony temi słowy:—Mahomet mówił do Arabów „Szanujcie palmę, bo to matka wasza“. Ja zaś, nie sądząc bynajmniej, by słowa moje miały to samo znaczenie, co dla Arabów słowa proroka, wołam jednak: „Szanujcie *Eucalyptus globulos*, bo on może stać się piastunem zdrowia waszego“.

Rozszerzyliśmy się nad prelekcyą czcigodnego nestora naszych uczonych, aby się podzielić z czytelnikami miłym wrażeniem i zajmującym wspomnieniem, jakie ona po sobie zostawiła. Zapewne, słabe to streszczenie nie da wyobrażenia o całości, z rzadkiem wygłoszonej wdziękiem, przez tego mę-

ża znakomitego, który zaszczytem jest kraju, dzielnicy naszej i miasta. Postać jego sama już zda się mówić o zwycięstwie ducha nad materją. Wątliej budowy ciała, zamłodu tak nadzwyczajnie przypominał on rysami twarzy syna Sofoniskowego, iż go wszyscy profesorowie i spółczniowie nazywali „Młodym Sokratesem“. Dziś sędziwość pogodna i zgodna, a myśląca i kochająca, nowe rzuciła blaski, nową uwieńczyła aureolą to znaczące oblicze, to bystre czoło, zpod którego wyglądają oczy dziwnie głębokie i łagodne zarazem. Białe jak śnieg włosy i broda spływają mu na ramiona i piersi; ruchy, pełne młodej żywości, stanowią rodzaj sprzeczności z tą piękną siwizną. Filozoficzne badania nie zniewoliły go do zamknięcia się w sobie, nie oddaliły go od ludzi, nie zubożyły na potrzeby i smutki spółziemi. Uczynne serce i hojna ręka zawsze czekają tylko na sposobność do udzielenia pomocy, wskazówki, dobrej rady, jałmużny serca, słowa czy datku. Pojąć też łatwo można: czem jest obecność podobnego męża między nami, i jak nam potrzeba zachować go między sobą w jaknajdłuższe lata.

Czytelnicy powyższego sprawozdania z odczytu hr. Cieszkowskiego nabiorą bliższej znajomości nader ciekawego okazu świata roślinnego, o którym może jedynie wiedzieli z fantastycznych opowieści Verne'a, przeprowadzającego „dzieci kapitana Granta“, przez olbrzymie australickie lasy eucalyptusów. Słyszeliśmy z kądinąd, iż rządy amerykańskich państw, które się rozciągają wązkim pasmem między Kordolierami a Oceanem Spokojnym, wszystkie miejskie ogrody, spacer i skwery obsadzają rzezonem drzewem, dającym w przeciągu kilku lat cień obfity i zbawiennie oddziaływającym na zdrowostan powietrza.

(Dokończenie nastąpi)

DROBNE LISTKI.

Napływ Chińczyków zaczyna być dla Ameryki kwestją poważnego znaczenia, a gorące rozprawy w kongressie, wywołane faktem, że w Kalifornii już znajduje się kilkakroć sto tysięcy Chińczyków, usiłowały wykazać całą niespożytyą a niebezpieczną dla innych narodów siłę tego azjatyckiego plemienia, które wedle wyrażenia kongressowych mówców w Washingtonie, rozpościera się wszędzie, gdzie raz się zjawi, jak plama oliwy. Ogarnęli już półwysep Malajski, Kochinchinę, Indye hollenderskie; trzymają się silnie na Wyspach Filipińskich, mimo wszelkiego rodzaju przesładowań, jakim tam podlegają, sadowią się na wyspach oceanu Spokojnego, od Japonii po wybrzeże Peruwiańskie i ład Australicki. A wszędzie tak Europejczyk jak krajowiec cofać się musi przed tym ruchliwym i przebiegłym, chciwym, żadnego poczucia moralnego nieposiadającym Azyatą, który w dodatku jest niepojęcie wytrzymały, obywający się niczem prawie, któremu nie szkodzi febrzy i epidemie zabójcze dla innych, a którego ludność mnoży się w sposób niesłychany u innych narodów. Chińczyk jest w dodatku niezmiernie bystry i inteligentny, szybko pojmuje każde położenie umie się przez każde przesłiznąć i zadawalnia się małym zarobkiem, byle tylko był ciągły; lecz najlepsze pojęcie o Chińczykach wogóle, daje ich spójność i łączność plemienna, o którą rozbija się wszystko, co tylko przeciw nim chce ktoś począć, bo każdy pojedynczy Chińczyk ma za sobą tysiące współbraci swoich. Żaden lud europejski nie przedstawia nic podobnego. Czem jest wiążąca ich siła stowarzyszenia: wyborna organizacja z jednej, posłuszeństwo i karnosć z drugiej strony, wykazuje się dopiero ze sposobu, w jaki urządzona jest u nich emigracja. Trzy miejscowości: Kanton, Amoy, Swatow, zogniskowały w sobie ten ruch, który wydaje wciąż ze siebie nieustannie płynące fale ludności. Każdy Chińczyk, pragnący wydalić się z kraju, zapisuje się w biurze emigracyjnym jednego z tych trzech miast i od tej chwili już przestaje rządzić sobą. Ubiorą go, zaopatrzą odpowiednio i na obranym

statku wysła do Honolulu, Sydney lub San-Francisco, gdzie, skoro tylko wysiadzie na ląd, agent towarzystwa czeka na niego w porcie, zabiera go ze sobą, aby dać mu dach i chleb aż do chwili wynalezienia mu roboty. Od tego czasu jakaś mała część zarobku zostaje codziennie lub tygodniowo wnoszona przez niego do biura towarzystwa, aż do chwili wypłacenia się z długu, który zaciągnął. Lecz i wtedy Chyńczyk-wychodźca nie zostaje bez opieki. Towarzystwo obowiązuje się najpierw przy zawieraniu umowy, że w razie śmierci zwłoki jego odstawi do ojczyzny, do miejsca urodzenia, aby tam miał grób, i zmieszał prochy swoje z prochami przodków, co u każdego Chińczyka wszelkich stanów jest za życia i w chwili śmierci najwyższym i wszystkie inne przenoszącym życzeniem. Następnie towarzystwo wchodzi we wszelkie targi między Chińczykami, sędzi ich i wymierza sprawiedliwość tak, że ludność chińska pozornie tylko żyje pod prawem kraju, w którym przebywa, lecz rzeczywiście ulega tylko władzy swojej, jest jej jedynie posłuszną i nigdy nie związana prawdziwie z ludnością miejscową, popiera zawsze swoje własne i wyłączne interesa, tak jak ma również i cel odrębny, nielączący się bynajmniej z celami ogółu, pośród którego żyje.

To czyni Chińczyków tak nienawistnymi wszystkim krajom i ludom, wśród których się osiedlają, lecz to zarazem stanowi ich siłę, tak wielką, że staje się przestraszająca, i Amerykanie twierdzą nie bez słuszności, że każdy Chińczyk należy do pewnego rodzaju tajnego towarzystwa.

Sławny pływak, kapitan Boyton, o którym rozszła się pogłoska, że zginął wśród starć wojny Chilijsko-Peruwiańskiej, żyje i tylko pozostaje w niewoli u Chilijczyków. W liście pisanim do Europy w dniu 7 Marca, opisuje koleje losu swego. W miesiącu Lutym, wzięwszy sobie do pomocy mały statek Peruwiański, wypłynął na rekonesans floty chilijskiej, zebranej pod Callao; opłynął ją i przepatrzył, lecz, uzuchwalony powodzeniem, posunął się tak daleko, że dostrzeżony z okrętów chilejskich, musiał uciekać i skryć się w jaskinią stromej skały, sterzczącej wśród morza. Nie miał przy sobie żadnych zapasów żywności; zgłodniały i strudzony czekać jednak musiał nadejścia nocy, aby pod zasłoną ciemności, dostać się do Callao, gdzie szczęśliwie przyplął o świcie, lecz tu właśnie czekało go nowe i wielkie niebezpieczeństwo, bo straż portowa, biorąc go za szpiega, strzeliła do niego. Po wzięciu Limy dostał się w ręce Chilijczyków, ale jest wolno puszczony na wolność, że miasta samowolnie nie opuści. Sceny okrucieństwa, jakich się tam dopuszczano, według Boytona, nie były sprawą Chilijczyków, ale pospółstwa i Indyjan-krajowców. Nadejście wojska Chilijczyków położyło właśnie koniec gwałtom i grabieżom.

Geograficzne stowarzyszenie angielskie postanowiło na ostatniem swem zebraniu opracować pod przewodnictwem jednego ze znakomitszych officerów marynarki mapę morską od wschodnich wybrzeży Grenlandyi, aż po zatokę Obi, ze szczególnem względem na panujące wiatry i prądy wodne. Mapa ta, opatrzona obszernymi komentarzami, będzie wielce pożyteczną dla coraz-to liczniejszych i częstszych wypraw w okolice podbiegunowe, przedsiębranych tak w celach naukowych, jak i rybołówczych. Pomijając wielką wyprawę włoską, na której czele stoi towarzysz Nordenskiöld; wyprawę angielską, która postanowiła posil-kować się przy przebywaniu pustyni lodowych balonami, trzymającami się nisko przy ziemi; amerykańską na okęcie „Jeanette“, której los nie jest jeszcze wiadomy; angielski podróżnik Leigh Smith, świeżo ozdobiony przez londyńskie *Geographical Society* medalem za odkrycie, które poczynił w nowo odkrytej ziemi, *Franz Joseph's Land*, zamierza pójść się wkrótce w podróż podbiegunową i zaję-

ty jest ostatniami przygotowawami. Przytem bremeńskie *Towarzystwo geograficzne*, zebrawszy zapomocą składkę fundusz potrzebny dla urzędzenia wyprawy naukowej do półwyspu Czukezów w północno-wschodniej Syberyi, wysłało właśnie braci Krause na poszukiwania naukowe w zakresie geografii i historii naturalnej, tak na półwyspie, jak wzdłuż wybrzeży cieśniny Behringa. Przytem d. 7 Maja wyprawa hollenderska wypłynęła z Amsterdamu na okęcie „Willem Barents“ pod wodzą kapitana von Broekhuysen.

Hollenderski rękopis, będący opisem drugiej podróży Vasco de Gamy do Indyi (1502—1503 r.) został odkryty w mieście Zerbst, w księstwie Anhalt, przez profesora Stür, który ogłosił go wkrótce drukiem w przekładzie niemieckim. Spisał go niegdyś jeden z towarzyszy portugalskiego podróżnika.

Nowego rodzaju wystawą mieć będzie miejsce w Paryżu, w Pałacu Przemysłowym, zaraz po zamknięciu obecnej wystawy malarstwa i rzeźby, zatem w miesiącu Lipcu. Komissya poszukiwań i odkryć, wysłana w roku zeszłym do Tunisu przez rząd francuzki, znalazła w Bisercie (dawna Utica) wśród ruin pałaców, świątyni i teatrów 700 dzieł sztuki rzymskiej, głównie waz. Jest tam również kilka wspaniałych pięknych mozaik i 300 napisów. Zabytki te czasowo wystawione na Champs Elysées, zostaną ostatecznie pomieszczone w Luwrze.

Węgierski malarz Munkacsy pragnął swó, wielki a na paryżką tegoroczną wystawę wykonany obraz: „Chrystus przed Piłatem“ odosobnić i wystawić w oddzielnym salonie, za co ofiarował 50,000 franków dla kassy zapomogi francuzkich artystów; niemniej ofiary nie przyjęto i żądaniu zadoczyć nie uczyniono, nie uznając powodów do takiego wyróżniania się od ogółu malarzy, tem już zaszczyconych, że ich obrazy zostały na wystawę przyjęte, więc uznane za dzieła sztuki wyższej. Komitet tegorocznej wystawy jest wogóle bardzo surowy i praw rządzących wystawą pilnujący; Gustawowi Doré, który z powodu śmierci matki spóźnił się o dwa dni poza termin z nadstawianiem obrazu, już przyjęcia takowego odmówiono.

Makarta ostatni obraz, zwany przez jednych „Lato“, przez drugich „Kąpiel“, został wystawiony w Wiedniu na widok publiczny i wzbudza uwielbienie, szczególnie miłośników Makartowskiego kolorytu.

Ruch roślin, najnowsze dzieło Darwina, wyszło właśnie w Londynie u wydawcy Murray.

Nowa książka Wiktora Hugo: *Quatre vents de l'Esprit*, zawiera w pierwszym tomie dwie kreacje dramatyczne: komedią i dramat; tom drugi mieści poemat: *Les révolutions*.

Czy poeci bywają szczęśliwymi w małżeństwie? było pytaniem zadanem sobie do rozwiązania przez *Przegląd amerykański*. Życie trzydziestu szesciu poetów zostało roztrząsane w długiej seryi artykułów i statystycznie odpowiedź wypadła: małżeństw poetów szczęśliwych 15; niebardzo szczęśliwych 5, względnie szczęśliwych 3, wątpliwych 5, nieszczęśliwych 8.

Kongres francuzkich uczonych towarzystw, zamknięty właśnie w pierwszych dniach Maja, ogłosił przez swoją sekcję umiejętności, odkrycie nowego materiału oświetlającego „Soleine“. Substancya ta otrzymuje się przez dystalację różnych ciał żywicznych; można otrzymać znaczną jej ilość wszędzie, gdzie rośnie jodła, sosna lub świerk. Zastosowanie Soleiny łatwe, światło jasne i czyste, wyrób tani. Wynałazcą jest Francuz: Guillemare.

Elektrofon, nowa odmiana telefonu, poddany próbie przez francuzkich i angielskich uczonych, wydał zadziwiająco pomyslnie rezultaty. Najpierw rozmowa prowadzona była między Calais i Duwrem, zatem przez morze i głos dochodził wybor-

nie; potem rozmawiano między Duwrem i Londynem, z równym i najpożądanym skutkiem. Dość należy, że przeprowadzające głos druty elektrofonu biegły obok zwykłych drutów telegraficznych, którem nie przeszkadzały bynajmniej w ich czynności, zatem elektrofony łatwo i niekosztownym sposobem mogą zostać zaprowadzone wszędzie, gdzie istnieją telegrafy.

Nowa opera Gounod'a: *Okup Zamory* przyniosła kassie teatralnej, za dziesięć pierwszych przedstawień 200,000 franków, co wypada po 20,000 za przedstawienie.

Juana, dramat, napisany przez angielskiego dramaturga dla Modrzejowskiej, ma według londyńskiego *Ateneum*, powodzenie niespodziewane, jest to bowiem sztuka pełna efektów melodramatycznych, jakie obecnie nie przypadają do gustu publiczności. *Ateneum* pisze: „*Juana* jest niemniej odznaczającym się dziełem (a remarkable work), rozmowy są potężne i często poetyczne; interes główny jest silny a sceny komiczne posiadają oddźwięk starych dramatów. Tam tylko uderza brak, gdzie powinna wystąpić w akcji siła, i budowa sztuki jest taka, jakgdyby budowniczy chciał wnieść dom bez murarza i zład roznomy, które poprzednio grzmiały, następnie szemrzą, interes namiętny zostaje zawieszony przez całe sceny“.

„Mimo wszystkie te błędy, *Juana* jest wytwornem (fine) dziełem, skarżymy się też głównie na to, że nie dosięga wielkości, której już jest blizkiem. Charaktery są świeże i nowe, a intryga szczególnie przemawia do wyobraźni, bo główny interes skupiający się wokoło człowieka, który przymuje śmierć, za kobietę kochaną, a niewiedzącą nawet o tej miłości, silny sam przez się, bardzo umiejętnie wzmocnionym zostaje. Wpływ tego jest dość potężny, aby zapanował nad zdarzającymi się słabościami dialogu i przesadzonemi efektami okrucieństwa i znieuwag, na jakie wystawiona jest bohaterka dramatu. Mme Modjewska przedstawiała ją doskonale. Trudno sobie wyobrazić obłąkanie oddane naturalniej i potężniej, a zarazem artystycznie, jak to ma miejsce w chwili, gdy Juana w przystępie zazdrości zabija męża. Scena śmierci była szczególnie malownicza i wyrazi-
zista.“

Sztuka ta jednak nie mogłaby być grywaną u nas, ze względu, że głównym bohaterem jest zakonnik.

Redakcja otrzymała w b. m. dla Zakładu paralityków:

Od W. Em. Gr. z Rygi, rs. 25.

Dla dotkniętych głodem Kurpiów:

Z Radomia od WW. Dra Jopkiewicza rs. 3; Dra Karczewskiego rs. 1; Dra Suligowskiego rs. 1; E. Janiszewskiego rs. 1; Z. Łempickiej rs. 1.

Na pomnik Mickiewicza:

Z Radomia od WW. Pani P.... rs. 1; Dra Suligowskiego rs. 1.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 15-ty powieści pod tytułem: **Służąca posesora**; oraz półarkusz 22-gi powieści pod tytułem: **Wódz-Duch**.

Ogłoszenia do BLUSZCZU, przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Praca kobiet, IV, przez Maryą Ilnicką. — Sama jedna, powieść. (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — O Sokratesie i Platonie, Odczyt, przez Stanisława Krzemińskiego. — Wycieczka do Rouen, przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Мая 1881 года.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg.)

Henryk potrzebował całej siły, aby się oprzeć wicherowi, który napadł go z szaloną gwałtownością, skoro tylko znalazł się wśród polanki. Rzeczywiście nie było bezpiecznie wśród lasu. Czarne, groźne szeregi chmur w górze kryły w łonie grad i pioruny, a wściekły uragan, który wstrząsał idącym, mógł co chwila pozwolić sobie innego żartu i zdruzgotawszy jednego z olbrzymów leśnych, eisnąć go na głowę bezsilnego ziemskiego robaczka.

Wprawdzie w domu gajowego było niewątpliwie bezpiecznie i wygodnie i kto inny z chłodniejszą krwią, z normalnie uderzającym pulsem byłby w każdym razie powrócił — ale Henryk za nic w świecie nie uczynił by tego. Szalony wicher wydał mu się wybornym towarzyszem.

Tak szamotając się z burzą uszedł spory kawał drogi, aż nagle olśniała go jaskrawa błyskawica, po której zaraz nastąpił przedłużony, a tak straszliwie huczący grzmot, jaki słyseć można tylko w wąskich dolinach, otoczonych w około wysokimi górami. Przez chwilę Henryk stał ogłuszony, jakby piorun uderzył tuż przed nim. Burza, jak gdyby z nagłego przerażenia zamilkła ale na krótką tylko chwilę, a deszcz niby oswobodzony od wiążącej go przemocy, lunał gwałtownie, połączony z drobnymi ziarnkami gradu, odbijając się z trzaskiem i szumem od ziemi.

Henryk puścił się szybko przez łąkę. Tam, na brzegu lasu stała — jak dobrze wiedział — samotna szopa, w pół ukryta wpośród olbrzymich buków. Wkrótce dostał się do niej. Miała trzy ściany, sklecone ze słupów i chróstu, dach ze słomy i mehu, jednak w razie niezbyt długiej burzy, nędzne to schronienie mogło jako tako osłonić go od wichru i deszczu.

Cofnął się w głąb szopy, i dotąd jeszcze przejęty wzruszeniem przypatrywał się szalonej burzy. A więc to był ów pożądaný deszcz, o który wszystkie w całej okolicy wieś tak gorąco prosiły nieba — dobroczynne, strumieniem spływające wody, mające ożywić usychające z upału świat roślinny, dać nadzieję obfitych zbiorów i tak niezbędnie potrzebnego chleba? Ale w jak straszliwy sposób obdarzyła nim matka przyroda!

Tak nieustannie i we wszystkich kierunkach migały ogniste węzyki, tak nieustannie huczały ogłuszające grzmoty, że można było mniemać, jakoby stary bog Greków rzucił na świat cały peł swoich piorunów. Zdawało się, że od huku i wstrząszeń ciągłych rozwała się ściany niebotycznych gór. Potoki wody lejącej się z upustów niebieskich zamieniły w jednej chwili zieloną łąkę w błyszczące jezioro, napelniły wyschnięte łóże małego strumyka i pędziły z szalonym szumem, porywając ze sobą kamienie, wyrwane z korzeniem rośliny, a nawet duże kłody drzewa, które stanowiły pierwotny mostek na strumyku.

A deszcz zawsze rześisty nie ustawał i znecier-

pliwiony Henryk biegł z żywością tam i na powrót po małej szopie, która na szczęście okazała się bezpiecznym schronieniem, gdyż ani jedna kropla nie dostała się wewnątrz, i deszcz zaciął tylko od strony czwartej, otwartej ściany.

Wreszcie powoli, stopniowo zaczęło się wyjaśniać, umilkły grzmoty i deszcz ustał prawie zupełnie. W lesie ptaki odezwały się znów wesołym święgotaniem, od strony najbliższej wioski zabrzmiały głosy ludzkie, a nawet dał się słyszeć turkot nadjeżdżającego wozu. Po chwili ukazał się i sam wóz na drodze, aż zatrzymał się wprost leśniczówki. Gajowy zeskoczył z niego i biegł z pośpiechem do mieszkania.

Więc gospodarz powrócił do domu, wierny pomocnik mógł zastąpić swą panią w pielegnowaniu chorego, a jeżeli niepokoiła się o to, czy w domu nie lękają się o nią, to nie powinna by zważać, że ziemia jest jeszcze mokra, i że popaduje drobny deszczyk, lecz czempędziej opuścić leśniczówkę.

Henryk mówił to sobie, wyglądając w stronę polanki, ale w duszy jego przemawiał inny jeszcze głos: — Jeżeli lękała się o tego, który mógł zostać powalony przez burzę, zabity w drodze przez piorun, to powinna była biedz w las, aby go szukać: powinna była wkrótce przybyć...

I rzeczywiście przybywała. Biegła szybko, jak gdyby wypuszczona z więzienia — kapelusz z woalką, rękawiczki i parasolkę zostawiła w leśniczówce. Długi ogon sukni uniosła nieco w górę, drobne, kształtne nóżki szły szybko przez wodę, a głowa z niepokojem zwracała się na wszystkie strony.

Henryk opuścił szopę i ukrył się za ogromną sosną.

Przez otwartą ścianę nadchodząca mogła z drogi widzieć całe wnętrze budynku, a powinna była widzieć je pustem. I w ostocie przybywszy naprzeciwko szopy skierowała w jej głąb niespokojne, badawcze spojrzenie i pobięła dalej wąską ścieżką, prowadzącą przez las ku Hirschwinklówi.

Ze dziś ścieżki tej nie można było przebyć — o tem nie wiedziała wcale. Zatrzymała się więc nagle i cofnęła parę kroków, ujrzawszy szeroki, pieniący się potok, jakim niespodzianie stał się wąski, spokojny, na wpół wyschnięty strumyk. Nigdzie ani śladu jakiej bądź kładki! Zrozpaczona biegała wzdłuż brzegu, szukając węższego miejsca, które by mogła przeskoczyć.

Tymczasem on przeszedłszy przez łączkę, zbliżył się niepostrzeżenie. Stanął za nią właśnie w chwili, gdy obu rękami uniosła suknię, widocznie chcąc w bród przebyć szeroką wodę. Z błyskawiczną szybkością otoczył ją ramionami i podniósł w górę.

Wydała głośny okrzyk — głowa, jak gdyby w pół omdleniu spoczęła na ramieniu Henryka, ukazując mu twarz straszliwie zmienioną z płaczu i niepokoju. Ale teraz rozjaśniła się nagle, a piers uniosła się głębokiem westchnieniem ulgi.

— Nie jestem tu jako brat z bractwa miłosierdzia, działający z ogólnej miłości bliźniego — szepnął cicho, uśmiechając się słodkim, pełnym tkliwości uśmiechem podczas gdy przenosił ją przez wodę. — O nie, jestem tu dla tego, aby uchronić panią od trudu.

Przybywszy na drugą stronę, postawił ją łagodnie na ziemi.

— Mój Boże, uraziłeś się pan w skaleczoną rękę! — zawołała z żywością, widząc że poprawiał rozluźwane obandażowanie.

— Ja, nie uraziłem się — odrzekł dwuznacznie. Na twarzy młodzieńca ukazał się filuterny uśmiech, lecz wzruszona żywo nie spostrzegła tego. — Być bardzo może, że pod przewiązaniem nie wszystko jest tak, jak być powinno — dodał, wzruszając ramionami — ale cóż to znaczy? Silna moja natura zniesie i to bez szwanku. A teraz, wracaj pani szybko do domu. Wiem, że biedni starzy niepokoją się mocno o synowicę, dotąd

zbierającą kwiaty, a stryjasek będzie mocno lażał, żeś pani zapomniała parosolki i rękawiczek. Czy mam je przynieść? — Odwrócił się, jakby chcąc biedz do leśniczówki.

Wstrząsnęła głową wzbraniająco, a teraz zapłakane oczy świeciły.

— A i kapelusz z woalką pozostał także — odezwał się znów po chwili. — Krople deszczu połyskują jak brylanty we włosach pani, niby łezki żalu za owym innym okryciem — białą chustką mojej siostry miłosierdzia. Ale nie będę dłużej zatrzymywać pani. Do widzenia!

Powiedziawszy to, jednym potężnym skokiem przesadził szumiący potok i poszedł szybko przez łąkę, zmierzając ku drodze, prowadzącej do dworu.

Przebył ją bardzo szybko, gdyż chciał być jak najprędzej w domu. Deszcz ustał zupełnie, ale przez te parę godzin spadły ogromne fale wody. Miękkie, wybornie uprawne grunta przemokły głęboko, a mała rzeczka, przy której stał tartak napelniona aż po same brzegi, z niezwykle gwałtownością pędziła przez ożywione wilgocią łąki.

Nad brzegiem stał dzierżawca tartaku z rozradowaną twarzą.

— O, panie kochany! dziś padał z nieba chleb... zawołał do przechodzącego dziedzica.

W otwartej bramie dziedzica Henryk spotkał Piotra Griebel.

— Z łaski Boga nie będzie już głodu w okolicy — odezwał się z zadowoleniem, wskazując ręką na zalaną wodą dolinę. — Jarzyny i kartofle wypadną świetnie. Taki deszcz, to mi się dopiero podoba! Aż serce rośnie patrząc, jak się ożywiło słicznie na oko!

Wreszcie w sieni wpadła na niego Griebłowa wybiegająca szybko ze spiżarni.

— A co, jakże się panu podoba taki deszczyk? — zawołała. — Nie prawda, że tu trochę inaczej grzmi i huczy, jak w pańskiej płaskiej Brandenburgii? Tak, tak, u nas nie może się obejść bez porządnego hałasu; to już taka tu moda, a my tego huku i puku słuchamy z taką samą roskoszą, jak gry na organach w kościele. A patrz pan, co tu mam! — pokazała mu duży pakiet, który trzymała w obu rękach. — Rodzenki, rodzenki; panie drogi... napięć ciast dla biednych dzieci z Tillrö-dee, aby podziękować Bogu za deszcz.

— Ciasto z rodzenkami! Ach! to pyszna rzecz. A ja z mojej strony dodam coś dobrego. Tylko napieć pani także pięknych weselnych kołaczy! — Powiedziaławszy to Henryk, objął wesoło grubą imość i przetańczył z nią walezyka.

— Weselnych kołaczy? — powtórzyła, spoglądając na niego podejrzliwym wzrokiem. — A z kąd to pan powracasz w tak niezwykle wesołym humorze i przemoczony do nitki? Ach mój miły Boże, jakże pan wyglądasz! Aż do kolan zawalany gliną i szlamem! I jeszcze tańczysz pan po mojej pięknej, świeżo wymytej sieni, mając tyle błota na nogach! Hanna ucieszy się dopiero, że będzie musiała drugi raz szorować. A więc żadasz pan weselnego kołacza? Chętnie upiekła bym i to taki, że by się rozpląwał w ustach, ale pytam pana, dla kogóż to? Kto ma go jeść?

— Kto? Każdy, kto tylko będzie miał ochotę, kto zechce być gościem na mojem weselu: starzy i młodzi, ubodzy i bogaci, wszystkich zapraszam bez wyjątku. Kto bierze młodą i piękną żonkę, powinien być hojnym.

Rozśmiał się, patrząc na osupiałą twarz tłustej gosposi i biegnąc po schodach, śpiewał pięknym barytonem znaną pieśń Jerzego Browna: — Pójdź o piękna!

— Powiedz mi, jak ci na imię — zabrzmiał jeszcze drugi wiersz z korytarza, poczem drzwi zamknęły się na górze i nastąpiła zupełna cisza.

Po krótkim czasie zbiegł znów na dół, zmierzając ku drzwiom siennym. Przebrał się w nowe suknie, uczesał starannie rozrzucone przez burzę

